



Kryminał z myszką

11

ZAGADKA JEDNEJ NOCY

DR JERZY KOSTRZEWA
PROWADZI ŚLEDZTWO

Tadeusz
Kostecki

Tadeusz KostECKI

ZAGADKA JEDNEJ NOCY

Kryminał z myszką – Tom 11

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-53-3

Copyright © Jerzy Tadeusz Czaplicki

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Spis treści

1. Noc nadchodzi
2. List, który doręczono za późno
3. Światło pada na krew
4. Gdy ustaje ból zęba
5. Koncesjonowane biuro wywiadowcze „Detektyw”
6. Dziwna sprawa
7. Bezkresna ucieczka
8. Luki i niedociągnięcia
9. Wyjaśnienia, które zaciemniają
10. Echa dnia wczorajszego
11. Protokół a rzeczywistość
12. W Leśnej pada deszcz
13. „Fatalna” kobieta
14. Prawo serii
15. „Wzorowa” pracownica
16. Tylko bez nerw
17. Wizja lokalna
18. Nie wszystko bywa takie, jak to wygląda na pierwszy rzut oka
19. Tal
20. Wieczorny zmierzch
21. Urwany ślad
22. Niebieska koperta
23. Nie każda sprawa wychodzi na zdrowie
24. Koszmar, który jest rzeczywistością
25. Łamigłówka, w której nic nie pasuje
26. Kostrzewa ma czyste sumienie
27. Ślady prowadzą w różnych kierunkach
28. Nieoczekiwana wizyta
29. Trzy uderzenia va banque
30. Żywa przynęta
31. Wycieczka w grozę minionych chwil
32. Zdarzenia dżdżystej nocy
33. Dewaluacja atuta
34. Rzykowny pomysł
35. Hotel „Pod Temidą”
36. Nie tak łatwo odejść od gry
37. Tym razem nie
38. Ręce, które trzymały siekiere
39. Drugi trop
40. Komplikacje
41. Odwrotna strona medalu
42. Sprawa dobiega końca

1. Noc nadchodzi

Wściekły podmuch znowu wstrząsnął ścianami. Szyby oddzwoniły cichym brzękiem, na dachu zajazgotał płat obluźwanej blachy, coś z hałasem poleciało w kominie. Dom pełen był odgłosów jak olbrzymie pudło rezonansowe. Światło żarówki zamigotało i przygasło. Teraz jarzyły tylko cienkie druciki. Zaraz zgaśnie do reszty. Sięgnęła po zapalki. Tu niemal zawsze tak... Ogień pod płytą kuchenną zahuczał ostro, rzucając czerwonawe odbłaski na białe kafle kominka. Palce zacisnęły kurczowo drewniane pudełko. Przeszło dwadzieścia godzin... Absolutnie nic nie zapowiadało bliskiego końca. Przeciwnie – wściekłość huraganu wciąż przybierała na sile. Sama jedna, zagubiona na tym odludziu. Jakby na jakiejś pustyni. I gdyby coś... Nie, nikt by nie przyszedł z pomocą. Wołanie o ratunek utonie bez echa...

Oczy błędziły po prymitywnym ornamencie ceraty. Narastało uczucie rozgoryczenia. Jak mógł? Przecież zdawał sobie doskonale sprawę, co znaczy samotność w tej trzeszczącej ruderze. Obiecał solennie: „Dziś już z całą pewnością. Zaraz po pracy... O ósmej dwadzieścia dwie...”

To miało być wczoraj. Nie wrócił ani o ósmej, ani o żadnej. A teraz znowu nadciągała noc. Druga z kolei, pełna grozy i lęku. Tygrys wył aż do świtu. Nawet psie nerwy nie wytrzymały. A ona... Och, z nią było już bardzo niedobrze. Ile razy ją zwodził, pozostając na noc w Warszawie. „Interesy... nadzwyczajne okazje”. Cóż właściwie wiedziała o jego życiu spędzonym poza domem? Zaciśnięte wargi stworzyły jedną wąską linię. Pewno, że to bardzo wygodnie trzymać żonę na uwięzi, samemu zaś... Żarówka znowu rzucała żółtawe, migocące światło. Ale czy na długo? Lada chwila zerwie się. Poza ścianą metaliczny gong zegara wydzwonił dziesiątą. Nie było na co dłużej czekać. Gdyby przyjechał o dziewiątej trzydzieści osiem, byłby tu już dawno. A następny pociąg dopiero o dwunastej. Nigdy nim nie wracał. „Lepiej przenocować u kolegi, niż zostać rozebrany przez chuliganów”.

Chuligani, bandyci... W Leśnej nie brakło ciemnych typów. Ale czyż nie rozumiał, że jej z ich strony również grozi niebezpieczeństwo? Nie dalej niż w zeszłym miesiącu ograbili willę na sąsiedniej ulicy. A tam o wiele więcej zamieszkałych domów. Podeszła ociężałym krokiem do kuchni i zasunęła szyber. Oczy przesunęły się ponownie po prostokątnej bladoliliowej koperty. Okrągłe gładkie litery nie zdradzały żadnych cech indywidualnych. Tylko że mężczyźni nie perfumują papieru listowego. Od dawna podejrzewała istnienie innych kobiet w jego życiu. Ale żeby nawet tu, w Leśnej?

Trzeba iść spać – pomyślała z męką. – Spać? Śmieszne. Przecież nie zmruży oka nawet na chwilę. I właśnie wtedy z dworu dobiegł powitalny gwałt podniesiony przez Tygrysa.

– Janek! – W mgnieniu oka wszystkie złe myśli zniknęły bez śladu. Wlepiała wyczekujące spojrzenie w szybę. Nie można jednak było nic dojrzeć. Jakby zawieszono ją czarnym aksamitem. Szczęknięła furtka. Potem kroki po wyżwirowanej alejce. Trzask drewnianych stopni. Głucho stuknęły drzwi.

– Janek! – rozprężyła ramiona.

W sieni coś poleciało z hałasem na podłogę.

Stanął na progu.

– Ależ piekielna pogoda! – rzucił swobodnym tonem. – Szedłem jak po faszynie.

Chyba powyrywało drzewa z korzeniami.

Czekała w milczeniu. Ani słówka przeprosin? Jakby zegar wskazywał godzinę dziewiątą dnia wczorajszego. Rozgoryczenie powróciło ostrą falą. Wybuchnęła.

– O tak! Piekielna! Czyż nie pomyślałeś, jak ja się tu czuję?! – Dałeś przecież słowo i...

Gwałtowność jej wystąpienia stropiła go.

– Jja... – manipulował przy kołnierzu swego płaszcza. – No, nie mogłem. Wierz mi, że naprawdę... Taka okazja... Grzech byłoby wypuścić ją z rąk.

Okazja? Ileż razy słyszała już tę śpiewkę? Spojrzała w kierunku kredensu.

2. List, który doręczono za późno

Ujęła ostrożnie róg koperty końcami palców.

– Przyniesiono wczoraj wieczorem. Sądząc po zapachu, też należy do rzędu okazji...

Udał, że nie zauważa sarkazmu.

– Przyniesiono? – obracał niezdecydowanie kopertę w palcach.

– Możesz nie szukać nadawcy – rzuciła ostro. – Perfumowana osoba wołała pozostawać w cieniu. Przynajmniej wobec mnie.

Po twarzy jego przemknął trudny do odcyfrowania wyraz. Obserwowała go spod oka... To jednak wyglądało na coś więcej niż zwykłe zmieszanie.

Rozdarł kopertę. Na pierwszy rzut oka czysty arkusik bladoliliowego papieru. Dopiero gdy go rozłożył, na wewnętrznej stronie dwie czy trzy linijki pisma.

Poblądł.

– Kto to przyniósł?

– Jakiś chłopak. Nie znam go.

– O której?

– Około siódmej.

– Powiedziałaś, że jestem w Warszawie?

– Tak. Ponieważ jednak miałaś powrócić o ósmej dwadzieścia...

– Powiedziałaś mu to? – podniósł na nią oczy. Były mętne. Lewa powieka drgała w nerwowym tiku.

– Przecież... – przełknęła ślinę. W tej scenie było coś, co przejmowało ją niepojętym lękiem.

– Ooo – uczynił ruch, jakby zamierzał powstać z krzesła. Spojrzawszy jednak na zegar opadł ciężko z powrotem.

– Wczoraj ósma dwadzieścia – spomiędzy warg wypływał głuchy szept – a dzisiaj...

Za późno...

Lęk rósł. Podeszła ku niemu, kładąc mu ręce na ramionach.

– Co jest w tym liście?

Usiłowała zajrzeć. Nie zdążyła. Zacisnął porywczo dłoń mnąc papier w ciasną kulkę.

To przeraziło ją jeszcze bardziej.

– Janku...

– Interes – nie patrzył na nią – zwykły, handlowy interes – głos był drewniany i martwy.

Nie uwierzyła. Niepowodzenie w interesach przyjmował zawsze zadziwiająco lekko. A tu...

Bezszykownie próbowała złowić jego spojrzenie. Umykał nim jednak uparcie.

– Dlaczego powiedziałaś: za późno?

– Głupstwo – nagłym ruchem wstał z krzesła i podszedł ku płycie kuchennej. Brzęknął odsuwany czajnik. Rzucił list w ogień. Po chwili poleciała tam również koperta. Przez chwilę wlepił tępo wzrok w języki buzującego płomienia. Patrzyła na niego w osłupieniu. Nie była w stanie nic z tego wszystkiego zrozumieć.

– Dlaczego powiedziałaś za późno? – powtórzyła pytanie.

Wzruszył ramionami.

– Podano termin. Właśnie na wczoraj. Ponieważ zaś... Trudno... Może jakoś... –

Brr... Zimno...

To od razu odwróciło tok jej myśli. Był słaby na płuca i jeśliby się przeziębził... Wobec choroby stawała zupełnie bezradna. Wiele zresztą zdarzeń czyniło ją bezradną.

– Zmarzęś?

– Przewiało mnie do szpiku kości.

– Herbata... zaraz – ręce dygotały z pośpiechu. Piekącą smugą przesunęła po skórze dłoni para. Parzyła również szklanka, którą zapomniała postawić na spodku.

– Wypij to szybko. Cukier... – podbiegła do kredensu. – Mam trochę koniaku.

W tym samym momencie zgasła żarówka. Mrok przez swą nagłość był tym bardziej intensywny. Refleksy płonącego pod płytą ognia nie były w stanie rozproszyć ciemności.

Zapałki? – szperała po omacku. Przed sekundą miała je jeszcze w ręku. Ostry snop białego światła spłynął z reflektora latarki kieszonkowej.

– Nie ma to jak własna elektrownia. Bez niej...

Już widocznie odzyskał panowanie nad sobą. Ale to wciąż jeszcze nie był jego głos.

Znalazła wreszcie zapałki. Właśnie obok imbryka na żelaznej płycie. Skąd się tam wzięły? Manipulowała przy lampce naftowej. Światło drgnęło.

– Nie gaś! – zawołała szybko – jakbym stłukła szkiełko...

3. Światło pada na krew

– Co to? – ręka zastygła w powietrzu.

Z dworu dobiegło wściekle ujadanie.

– Ktoś przechodzi... – mruknął, to jednak nie zabrzmiało zbyt pewnie.

– Na taką pogodę? Dokąd? Jakbyś nie wiedział, że za naszą siatką szczere pole...

Nadślułkiwał ze skupionym wyrazem twarzy. W szczekaniu psa było coś alarmującego. A dzisiejszej nocy... Przed oczyma biegały słowa wypisane aż z nadto dobitną wyrazistością na pachnącym arkusiku.

I nagle rozpaczliwy, pełen bólu skowyt.

– Jezus, Maria! – szkiełko wysliznęło się spomiędzy omdlałych palców.

– Bandydzi!

– Nonsens! – wstał jednak. Na dworze panowała teraz cisza. Nagłe ucichnięcie Tygrysa było niepokojące.

– Bandydzi – głos jej dygotał – zrobili coś Tygrysowi, a teraz....

– Trzeba by... – stał przez chwilę z wahaniem, po czym uczynił krok w kierunku drzwi.

Przypadła ku niemu.

– Nie pójdziesz! – wczepiła kurczowo palce w szorstką wełnę płaszcza – może są już w ogródku.

– Kto? Tylko bez hysterii – syknął ostro. – Nerwy znowu zaczynały go ponosić.

– Po co masz iść?

– Pies... Pamiętasz, jak było wtedy? O mało nie stracił oka.

Znowu wściekły podmuch wichury. Głośno trzaskały łamane gałęzie. Nagły brzęk tłuczonego szkła. Odłamki szyby poleciały na podłogę. Skierował światło latarki ku oknu, oświetlając je przez chwilę. Potem przesunął włącznik. Po tamtej stronie nie dojrzał nikogo.

– Ależ huragan – mruknął przez zęby.

– Wiatr? – błagała o potwierdzenie. – Tylko wiatr?

– A cóż by mogło być innego? Przecież sama widziałaś. Pusto... No, puść. Muszę zobaczyć co z Tygrysem. Mogli go... Patyk, kamień... czy ja wiem. Jakiś chuligan... To zupełnie dzicy ludzie.

Przełknęła ślinę.

– Dzicy – westchnęła – tu wszystko dzikie. Jakby gdzieś... – nie potrafiła znaleźć odpowiedniego porównania.

Cisza na zewnątrz trwała.

– Zaraz wracam. Może wszystko w porządku... Przeszedł dalej, a Tygrys...

Nie puszczała go.

– Jakże pójdziesz z gołymi rękoma? Oni pod jakimś krzakiem...

– A z czym mam iść? Broń, pha... Minęły te czasy... Teraz tylko bandyci ją miewają.

Ostatecznie laskę... Dla twego spokoju. Bo...

Potrząsnęła głową.

– Laska? Cóż ci pomoże, jeśli... Weź siekierę...

– No wiesz... Po prostu śmieszne – słowa daleko odbiegały od tego, co myślał. Bo dzisiejszej nocy nie było miejsca na śmieszność.

– Jeżeli nie weźmiesz, to ja... Sam chyba wiesz, że z moim sercem nie jest za dobrze.

– Będę z nią wyglądać jak... Nno... niech już będzie. Gdzie ją masz?

– W sieni.

Otworzył drzwi. Światło latarki przesunęło się po nagromadzonych rupieciach.

– Nie ma jej tu – sarknęła niecierpliwie – u nas kiedy byłoby co na swoim miejscu!

– Nie ma? – pocierała czoło, z trudem zbierając myśli – może w ogródku. Tak – przypomniała sobie wreszcie – zostawiłam ją tam. Wczoraj, gdy nadciągnął huragan. Myślałam, że drzewa na mnie obali. A dziewczyna nie przyszła...

– W którym miejscu?

– Pod brzózkami...

– Pod którymi? – zniecierpliwienie rosło. Cały ogród był porośnięty brzózkami.

– Pod tą kępką. Nno... te trzy, jakby wyrastające z jednego pnia. Na lewo od furtki.

– Już wiem.

Jeszcze nie wypuszczała rękawa jego płaszcza spomiędzy palców.

– Ale daj słowo...

– Daję – wyrwał się i zbiegł po schodkach.

Stała bez ruchu, ciężko wsparta plecami o futrynę drzwi. Gonila oczyma jego sylwetkę, dopóki nie utonęła w mroku. Wichura pochłaniała bez reszty odgłos kroków. Dlaczego tak długo nie wraca? Powinien już... Ktoś jęknął? – wsłuchiwała się w zgiełk wrący w powietrzu. I nagle... krzyk. Chrapliwy, przepojony śmiertelnym bólem krzyk człowieka.

– Janek! – wrzasnęła dziko. Już pędziła bez pamięci w ciemność.

– Janek!

Nie było żadnej odpowiedzi. Może zresztą tylko jej nie dosłyszała? Wszystko dookoła jazgotało i wyło. Pędziła ku furtce nie przestając wołać. Naraz noga zaczepiła o coś twardego. Cegła wkopana jako obramowanie ścieżki? Runęła z impetem twarzą naprzód. Przed oczyma zawirowały ogniste skierki. Nie zdawała sobie sprawy, ile czasu minęło do chwili, gdy zaczęła niezdarnie powstawać, opierając się rękoma o ostry żwir.

– Janek! – głos chrypl z trwogi. – Boże, żeby tylko nie spotkało go nic złego. Dlaczego nie odpowiada?

I wreszcie: – Jestem tu...

Wciągnęła spazmatycznie powietrze do płuc. Noc pełna grozy, huragan, wszystko w mgnieniu oka straciło znaczenie. Strach zniknął, potem przecież powrócił. Ten krzyk...

– Tyś krzyczał przed chwilą?

– Nie...

– Wszystko w porządku?

Dłgie, jakże niezmiernie długie milczenie.

– Tak – to zabrzmiało głucho i jakoś dziwnie. – Ze mną w porządku.

Zrobiła jeszcze parę kroków i przystanęła niepewnie. Gdzie on właściwie jest? Bezustanny hałas wichury uniemożliwił określenie kierunku, skąd padał głos.

– Gdzie jesteś?

– Tu.

Wciąż jeszcze nie wiedziała.

– Zapal latarkę!

– Zgubiłem ją!

– Nie mogę cię znaleźć. Podejdź bliżej!

– Idziesz alejką?

– Tak.

– W takim razie do końca i trochę w lewo. Wolę stać w miejscu. Inaczej moglibyśmy się szukać całymi godzinami.

Ruszyła dalej. Miał rację. Na lewo? A furтка była po prawej stronie. Dlaczego akurat tam? Wciąż go nie potrafiła dojrzeć. Nie mógł się znajdować daleko. Śmieszne. Dom od ogrodzenia dzieliła przestrzeń niecałych trzydziestu metrów. Ale niekiedy nawet przebycie paru kroków stanowi daleką drogę. Wreszcie dojrzała jakby zagęszczoną smugę mroku.

– Myślałam już, że cię nie znajdę. Kto to krzyczał?

– Hm... Wpierw skowyt Tygrysa, a potem...

– Potem to był z całą pewnością człowiek.

– Ttak... Chyba tak. Ale nie wiem kto i dlaczego... A Tygrys... biedaczysko...

kamieniem w łeb.

– Poważnie ranny? Może by go trzeba przenieść do mieszkania i opatrzyć...

– Niestety... Nic mu już nie pomoże.

– Nie żyje?

– Na miejscu. Cała czaszka... – urwał.

Zacisnęła bezwiednie pięści. Tygrys... Tyle lat był u nich!

– Kto to mógł zrobić? – głos jej dygotał.

– Jakiś chuligan. Co takiemu... Jakby mu przyszła fantazja, to tym samym kamieniem rozwaliłby ludzką głowę.

Poza siatką zamigotały plamy światła, przybierając z każdą chwilą na sile. Dobiegał miarowy szcęk metalu i ciche szuranie opon. Ktoś jechał na rowerze, a potem odgłos jazdy ustał.

– Czy to u was ktoś krzyczał?

Poznała głos milicjanta Macioszka. Składała mu kiedyś zameldowanie o zranieniu Tygrysa. Nic z tego nie wyszło. Zresztą od razu uprzedził: „Kto tam teraz dojdzie. Szkoda papieru na protokół”.

– Jakiś chuligan zabił... – nagle słowa ugrzęzły jej w gardle. Krew gwałtowną falą odpłynęła od serca. Światło padało do wewnątrz ogródka, wrywając z mroku ręce Jana trzymające siekiere. Obuszek, ostrze, toporzysko pokrywały ciemnoczerwone plamy. Również i na dłoniach... A w odległości zaledwie paru kroków ciemniało na ziemi zastygłe w bezruchu ciało. Ale to nie był Tygrys. W smudze światła wystąpiła ostrym obrazem woskowożółta twarz zalana krwią.

Milicjant podszedł szybko do furtki.

– Zabił?

Nie mogła oderwać oczu od leżącego. Myśli zmętniały. Topór w rękach Janka i ten trup... To przecież nie mogło być na prawdę.

– Ratunku! – krzyknęła dziko – ratunku!

4. Gdy ustaje ból zęba

Ćmiło go już od paru dni. Ale to było do zniesienia. Aby tylko nie jeść lodów ani słodyczy. Prokurator Wojtczak wolał zrezygnować z nich, niż iść do dentysty. Na samą myśl o borowaniu świdrem dostawał gęsiej skórki. Wieczorem rozbolało paskudnie. Palił papierosa za papierosem, klnąc na czym świat stoi. Poszedł do łóżka znacznie wcześniej niż zwykle. Wtulił policzek w poduszkę. Zasnąć za wszelką cenę. Sen jednak nie nadchodził. Zaciskał wargi, by zdławić jęczenie. Około dwunastej już nie był w stanie bólu wytrzymać. Świdrowało w całej szczęce, jakby ktoś dźgał rozpalonym żelazem. Wyskoczył z łóżka, zaczynając obłądny spacer dookoła stołu. Przykładał ręcznik zmoczony w zimnej wodzie. Nie pomagało. Może ciepły okład? – Zapalił gazową kuchenkę i przytupując czekał, aż na powierzchnię wody wystąpią bąbelki. Gdy przytknął parujący ręcznik do policzka, wrzasnął zduszonym głosem. Można oszaleć.

Żona zapaliła światło.

– Co ty wyprawiasz?

– Wyprawiam? – sarknął. Był rozżalony na cały świat – człowiek umiera z bólu, a ta...

– Musisz iść do dentysty.

– Teraz, w nocy? Najłatwiej o takie rady...

Po godzinie ból trochę jakby zelżał. Powrócił do łóżka. Zasnął, choć w szczęce dokuczliwie nurtowało. Rano niemal zapomniał o zębie.

– Musisz iść do dentysty – zapowiedziała stanowczo.

– Hm... – popijał małymi łykami kawę, by nie rozdrażnić nerwu...

– Wstyd, żeby dorosły mężczyzna dopuścił do takiego stanu swe uzębienie. I to do tego jeszcze w stolicy, gdzie chyba nie brak możliwości leczenia.

– Gdy człowiek taki zapracowany... – mruknął półgębkiem.

Pokiwała pobłażliwie głową. Wiedziała dobrze, co sądzić o przyczynie jego awersji do dentystów. Mężczyźni niekiedy bywają jak dzieci.

– Pójdiesz dziś?

– Ttak... oczywiście – pakował pospiesznie do teczki akta. Ale to wcale nie było takie oczywiste. Po co budzić licha, kiedy śpi? A gdy świder przejedzie po nerwie. Brrr...

W tramwaju znowu zaczęło go ćmić. Wszedł na przednią platformę i zapalił papierosa. Może przejdzie i tym razem; nie przechodziło jednak. Spojrzał na zegarek. Dentystka zaczynała przyjmować dopiero o drugiej. Miał jeszcze sporo czasu do namysłu.

Przestąpił próg kancelarii ponury niczym gradowa chmura. Rozdzielił zdawkowe uściski dłoni. Zignorował żartobliwą uwagę asesora Janickiego na temat pogody. Nie miał ochoty na gadanie. W ogóle nie miał ochoty na nic. Obrzucił niechętnym spojrzeniem stertę akt na biurku.

To miała być jednodniowa porcja? Nonsens! Ostatecznie nie jest tu tylko po to, by podpisywać mechanicznie wszystko, co komu fantazja podsunie. Trzeba pomyśleć nad każdą sprawą. Ale podpisywał jedno postanowienie po drugim. Uzasadnienia Janickiego brzmiały gładko i przekonywająco. Ból rósł crescendo. W momencie gdy wyrzała cieniutka obwoluta, palił już żywym ogniem. Przebiegł wzrokiem wniosek na umorzenie. Potem przejrzał nieliczne protokoły wypełniające teczkę. – Ech nie... to przecież... – na marginesach wyrastał las wykrzykników i znaków zapytania.

– Kolego Janicki!

Wszedł jak zawsze uśmiechnięty, wyświeżony, jakby go dopiero co wydobyto z pudełka.

Wojtczak popatrzył spod oka. Luluś. Taki pewno nie wie od urodzenia, co to jest ból zęba. Nie potrafiłby wprawdzie uzasadnić nawet przed samym sobą, jaki związek może mieć jedno z drugim, ale w tej chwili drażnili go wszyscy i wszystko.

– To – porywczo podsunął akta – nie dochodzenie, a lichy wie!

Janicki pokiwał głową.

- Zapewne, że pozostawili sporo luk. Ale jeżeli chodzi o tego rodzaju sprawę...
- Każda sprawa powinna być zapięta na ostatni guzik – przerwał mu szorstko. – A tu, gdzie tylko trochę mocniej pociągnąć, wszystko pęka na szwach...
- Wszystko? – przeciągnął z powątpiewaniem Janicki. – Wcale bym jednak tego nie powiedział. Ostatecznie, pomimo niewątpliwych usterek, sytuacja jasna: Ten, co włożył do ogródka, niedwuznaczny bandzior. Fałszywy dowód osobisty, w garści pistolet o spiłowanym numerze. Magazyn pełny, kula w lufie, bezpiecznik podniesiony. Zabił psa. Czyż walnięcie go obuszkami w łeb nie stanowiło obrony koniecznej?
- Może. A może i nie. Materiał: groch z kapustą – zniecierpliwionym ruchem przekartkował dokumenty. – Aż młodości człowieka biorą na widok czegoś podobnego. Tych tumanów, którzy to spitrasili, nie trzymałbym ani nawet dwudziestu czterech godzin w milicji. Cholera! – zaczął masować policzki.
- Janicki popatrzył na niego współczująco.
- Ząb?
- Świństwo, a nie ząb. Życ się człowiekowi odechciewa.
- Na to jednak znajdziemy radę – sięgnął do kieszeni wyluskując płaskie pudełeczko.

Potem nalał do szklanki wody z karafki.

- Mocny ból? – otworzył pudełko.
- Piekielny.
- W takim razie dwie – wyjął małe tabletki.
- To nieszkodliwe – wyjaśnił uspokajająco.
- Myślicie, że przejdzie? – przełknął tabletki bez wahania. W tej chwili byłby gotów zażyć nawet witriol.
- Pod gwarancją – potwierdził z uśmiechem. – Aby tylko obficie popić.

Wysuszył szklankę do ostatniej kropli. Zastygły w bezruchu czekał na ulgę. Nie przychodziła. Świdrowało z poprzednią zaciętością. W ciszę panującą w gabinecie wpadał monotony tykot zegara.

- Jakoś nie pomaga – mruknął z rozczarowaniem. I właśnie w tej samej chwili ból nagle ustał. W pierwszym momencie nie wierzył. Może to tylko przejściowo? Potem nastąpiło odprężenie. Cały świat od razu przybrał odmienne oblicze. Wszystko pojaśniało. Zuch z tego Janickiego. Żeby nosić przy sobie proszki od bólu zębów... Nie każdego stać na podobną zapobiegliwość. W ogóle chłopak udany po każdym względem: pracowity, zdolny, dobry prawnik. A że nieco nadmiernie dba o swój wygląd zewnętrzny – to i co z tego. Tym lepiej, że tak. Powinien szybko zrobić karierę. Zasługuje na to całkowicie.
- Pomogło? – Janicki miał tak rozradowaną minę, jakby to właśnie jego przestały boleć zęby.
- Jeszcze jak. Bardzo wam dziękuję...
- Och... ja przecież nie dlatego. – Milczał chwilę. – A więc powracając do sprawy zabójstwa w Leśnej...
- Ale Wojtczak nie miał ochoty do niej powracać.
- W porządku – podpisał szybko postanowienie. – Dochodzenie wprawdzie sknocone, że trudno by gorzej, ale macie rację: sprawa całkiem jasna. Obrona konieczna i mucha nie siada – zamknął z hałasem obwolotę.

5. Koncesjonowane biuro wywiadowcze „Detektyw”

Taki właśnie napis widniał na pachnącej jeszcze farbą tabliczce. Woń farby biła zresztą intensywnie ze wszystkich ścian całego lokalu.

– Jak się macie, Nat Pinkertony! – zawołał wesoło doktor Jerzy Kostrzewa, kładąc ostrożnie przyniesioną paczkę na stole.

Lerski zrobił obrażoną minę.

– Dlaczego nie Sherlock Holmesy?

– Ba – Kostrzewa ścisnął serdecznie dłonie przyjaciół – Sherlock Holmes – to klasyka! Musicie jeszcze długo popracować, zanim was do niej zaliczą. I pamiętajcie, żadnych nowatorstw, ani broń Boże eksperymentów. Wszystko według uświęconego od wieku wzoru. Bo inaczej... Niech przestrożą będzie wam rysunek umieszczony w jednym z pism humorystycznych: Dwaj barczyści osobnicy o minach katowskich pachółków przystawiają pistolety do piersi drżącego delikwenta: „Przyznaj się, żeś zdradził żonę. Dozorca się przyznał, wszyscy sąsiedzi również i tylko ty...” Nie rączę zresztą za ścisłość cytatu.

Kawecki wydał wargi. – Też dowcip. Znam znacznie lepsze na ten sam temat. Poza tym wywiady w sprawach rozwodowych nie wyczerpują bynajmniej zakresu naszej kompetencji.

– Mamy prawo prowadzenia również i tych spraw, w których prokurator umorzył dochodzenie – dorzucił Lerski.

Kostrzewa zasiadł w fotelu, wyciągając przed siebie nogi na całą długość.

– Hm... tak... To byłaby rzeczywiście niewyczerpana kopalnia sensacyjnych odkryć. Tylko kto przyjdzie z czymś podobnym?

Lerski podniósł rękę.

– A jednak...

– Macie coś w tym rodzaju?

– Jedyna sprawa, jaką nam powierzono.

– Moglibyśmy mieć zresztą i kilka innych – zauważył nonszalancko Kawecki – ale co tam... – machnął ręką.

– Nie przyjęliście ich?

– Co tam przyjmować, mamy je już w rękach.

– No więc?

– Właśnie – strzepnął palcami. – W tym sęk. Sam pomyśl: Stolarze wzięli zadatek i zniknęli jak sen złoty. Malarze przepili pieniądze pobrane na zakup farb. Józkowi ktoś gwizdnął całkiem nowy kapelusz.

– Całkiem nowy – potwierdził żałośnie Lerski – dwieście osiemnaście złotych i pięćdziesiąt groszy, jak w pysk strzelił.

Kostrzewa parsnęła niepowstrzymanym śmiechem. Detektywi jako ofiary przewrotności ludzkich charakterów. Niezbyt zręczna reklama jak na nowopowstające przedsiębiorstwo tego typu.

– No, na pocieszenie – podniósł paczkę. – Zwyczaj nakazuje przynosić ciastka na nowe mieszkanie...

– Ciastka? – Lerski przyjrzał mu się zmrużonymi oczyma. Kawecki nic nie powiedział, ale wyraźnie posmutniał.

– Tak. Ale wszędzie takie kolejki, że pomyślałem sobie – zwyczaj zwyczajem, a kropelka wiary w przyszłość przedsiębiorstwa też im nie zaszkodzi.

– Kropelka? – Lerski już rozwijał paczkę. – To mądrze pomyślane.

Kawecki zniknął w sąsiednim pokoju, skąd powrócił po chwili przynosząc trzy kieliszki, Lerski napełnił je z powagą.

– Za wasz jak najszybszy awans na prawdziwych Sherlocków! – wznosił toast Kostrzewa.

Wypili jednym haustem.

– Cóż – Lerski odstawił ostrożnie opróżniony kieliszek – on też działał w ramach prywatnej inicjatywy.

Po wargach Kaweckiego przewinął się trudny do odcyfrowania uśmiech.

- Na hm... obecnym etapie prywatna inicjatywa to rzecz w zupełnym porządku. A jak twoje sprawy z Komendą? – zapytał Kostrzewę.
- Poród był ciężki, ale koniec wieńczy dzieło.

Lerski, który przystąpił do napełniania kieliszków, rzucił przez ramię:

- Prawdę powiedziawszy, nie wierzyłem, że cię puszcza.
- Ja także nie – zawtórował Kawecki. – Byłem pewny, że potraktują cały incydent jako kwestię prestiżową. Tyle im przecież nagadałeś.

Kostrzewa potarł grzbietem dłoni podbródek.

- Do pewnego stopnia właśnie stanęli na tym stanowisku. Ale wziąłem na kiel. W końcu sprawa została załatwiona honorowo dla obu stron – jak to kiedyś stwierdzali sekundanci w protokołach. Krótko mówiąc, podpisałem coś w rodzaju ramowej umowy na prace zleczone.
- Nie kijem go, to pałką – mruknął Lerski.
- Mowy nie ma! Dżentelmeński pakt o wzajemnej nieagresji. Chyba jakaś naprawdę ciekawa sprawa.
- A więc na przyszłość wyłącznie lekarska praktyka?
- Ttak – potwierdzenie zabrzmiało dość smętnie.
- A w klinice co? – zapytał Kawecki – harówka od świtu do nocy i na odwyrtkę?
- Nic podobnego – remont.

Kawecki rzucił porozumiewawcze spojrzenie na Lerskiego. Ten odpowiedział podobnym. Powzięli w tej chwili jednocześnie pewien plan i wiedzieli, że im się powiedzie. Natura zawsze ciągnie wilka do lasu.

6. Dziwna sprawa

Lerski niby to bez żadnej ubocznej myśli opowiedział historię zabójstwa w Leśnej. Kostrzewa słuchał z rosnącym zainteresowaniem.

- Zastrzelił tego psa? – wtrącił pytanie w pewnym momencie.
- Nie, rozmażdżył mu głowę jakimś tępym narzędziem.
- Rękojeścią pistoletu?
- Wykluczone. Ani na broni, ani na ręce nie wykryto plam krwi.
- W takim razie jakim narzędziem?
- Skąd można wiedzieć? Chyba kamieniem czy czymś w tym rodzaju. Ale narzędzia nie znaleziono.
- Hm... Szukać kamienia w momencie, gdy palec tkwi na cynglu odbezpieczonego pistoletu. To jednak trochę... Chyba, że mu chodziło o uniknięcie hałasu.
- Hałas tu w ogóle nie wchodzi w rachubę. Do lufy był przykręcony tłumik Maksima.
- W takim razie jedź dalej.
- Najciekawsze w tym wszystkim – podjął znowu Lerski – że Jan Solecki, takie bowiem nazwisko nosi mąż naszej klientki, stanowczo zaprzecza, by miał rąbnąć tego bandziora obuszkiem.

Kostrzewa nadstawił uszu.

- Jak w takim razie tłumaczy scenę, którą zastał milicjant?
- Twierdzi, że siekierę znalazł pod siatką. Krwi nie widział, bo było zupełnie ciemno, a jeżeli chodzi o lepkość, którą wyczuł pod palcami, to sądził, że pochodzi z wilgoci.
- A ręce sobie pokrwawił od siekiery?
- Nie. Zeznał, że w czasie obmacywania psa.

Kostrzewa bębnił w zamyśleniu palcami po poręczu fotela.

- To jednak przecież możliwe. Zbadano krew na jego rękach?
- Nie. Powiem ci nawet więcej: W momencie gdy Solecki został doprowadzony na posterunek, miał już zupełnie czyste ręce.
- Nie rozumiem.
- A przecież zupełnie proste. Milicjant, który wdepnął na to widowisko, polecił mu umyć się. „Miałbym go prowadzić przez całe osiedle z zakrwawionymi rękoma”?
- Komendant posterunku w zupełności zresztą aprobował to postępowanie.
- Niezłe rozumowanie – zagwizdał przeciągle przez zęby – byłeś tam u nich?
- Owszem.
- Co powiesz o nich?
- Ciemniaki, jakich świat nie widział! I, co gorsza, przekonani o własnej mądrości.
- Z tym Soleckim również rozmawialiście?
- Ba... To nie było możliwe.
- Dlaczego?
- Zniknął.
- Jak to? – Oczy jego rozszerzył wyraz zdumienia – i pomimo tego prokurator umorzył sprawę?
- Zniknął dopiero po jej umorzeniu. Zresztą to też nie takie proste. Dla żony zniknięcie, dla innych jak najbardziej oficjalny wyjazd na urlop zdrowotny. Owszem, była komisja lekarska i wszystko, co należy. Orzeczenie brzmiało: „Rozstrój nerwowy. Niezdolny do pracy. Konieczny sześciotygodniowy odpoczynek”. Zdał sklep swojemu zastępcy. Podpisał spis inwentarza – a weź pod uwagę, że w branży jubilerskiej to nie drobnostka, nawet pożegnał, kogo trzeba, w dyrekcji i... pojechał.
- Dokąd?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI